

Tomasz Schramm

**Te siedemdziesiąt lat, które jest poza mną.
Przemówienie wygłoszone z okazji jubileuszu
w dniu 21 listopada 2019 roku**



Poznań 2019
Wydział Historii UAM

Magnificencjo Rektorze, Szanowny Panie Dziekanie, Szanowni Państwo,
Drodzy Przyjaciele,

Bardzo dziękuję za wszystkie wystąpienia, których wysłuchałem z prawdziwym zainteresowaniem – zresztą zrozumiałym, zważywszy na to, że ich materia jest mi bliska. Proszę mi pozwolić teraz na spojrzenie na nią z perspektywy nieco odmiennie niż przyjmowana dotąd.

Zanim jednak to uczynię, pragnę złożyć podziękowanie wszystkim, którzy mają swój wkład w to, co stało się dzisiaj moim udziałem. Ze szczególnym naciskiem odnoszę to do otrzymanej przed chwilą książki – zbioru moich artykułów zatytułowanego "Długie i krótkie stulecie. Szkice z historii XIX i XX wieku". I w tej chwili zwracam się do jednej osoby, pani profesor Małgorzaty Praczyk: Małgosiu, Ty wiesz sama z kim i w jakiej mierze podzielił się wyrazami wdzięczności, które ja składam Tobie, za pracę włożoną w wydanie tego tomu.

Ci, którzy mnie znają wiedzą, że gdy mam wygłosić choćby dwa składne zdania, wolę je sobie sformułować na piśmie. Tym razem nie skończy się na dwóch zdaniach – proszę więc o wyrozumiałość wobec posiłkowania się kartką.

Nie zamierzam ukrywać, że dzisiejszy czas i miejsce były obecne w moich myślach już od pewnego czasu. Pierwszym skojarzeniem były przeczytane kiedyś słowa profesora Remigiusza Bierzanka: „Nie lubię zwłaszcza «piernikaliów», w których stawia się na widok publiczny sędziwych ludzi o nienajlepszym wyglądzie, którzy wzbudzają raczej smutne refleksje na temat życia człowieka i zmienności tego świata.”.

Potem jednak naszły mnie pewne wątpliwości, co do niektórych obecnych w tym cytacie sformułowań, a w ślad za tym nasunęły mi się słowa kogoś innego, znajdujące się w wierszu zatytułowanym „Jubileusz”, a właściwie: „Krakowski jubileusz”:

„Bierze się do tego celu
Tęgiego starego pryka,
Sadza się go na fotelu

I siarczyście się go «tyka».
Odmiany prawa wszak znacie,
Trudności nie będzie zatem;
Więc: jubilat, jubilacie,
Jubilata, z jubilatem...”

Ale i w tym cytacie coś brzmiało mi niezbyt harmonijnie. Przypomniał mi się zatem z kolei inny utwór tego samego autora, rozpoczynający się jak następuje:

„Marzę często o tym wieku,
Gdy zwierzę ginie w człowieku;
Gdy już żadna z ziemskich chuci
Władzy Ducha nie zakłóci.
Jak to musi być przyjemnie!
Nic poza mną, wszystko we mnie...”

Wątek ten jest następnie rozwijany.

No i tak to moje myślenie stawało się stopniowo coraz bardziej pogodne. Sądzę zresztą, że takie powinno być. Może niekoniecznie ze względu na ostatni z wybrzmiałych przed chwilą akcentów. Głównie dlatego, że jest to właściwy moment na dokonanie – właśnie z mojej perspektywy – pewnej retrospekcji i zarazem rekapitulacji. Niewątpliwie bowiem więcej jest już za mną, aniżeli przede mną.

Podsumowanie każdego życia ludzkiego – co można też określić terminem: „każdego losu ludzkiego” – może czy zgoła powinno być ujęte w dwóch aspektach. Jeden z nich ma charakter ogólny. Da się go sprowadzić do refleksji nad czasem i miejscem, w którym wypadło mi żyć, w którym – że użyję poznanego kiedyś określenia – upuścił mnie bocian. Dokonując niedawno oceny w tej skali makro, wskazałem na dwie najważniejsze i najlepsze składowe mojego życia: w ciągu jego 70 lat nie zaznałem wojny, ponadto zaś przeżyłem rok 1989. Podkreślam przy tym, że mówię o tym roku jako o ówczesnym przeżyciu Polaka – osobistym, chociaż pomnożonym przez miliony – a nie jako o przedmiocie analizy historyka. Tej konstatacji towarzyszy naturalne zestawienie z losem pokolenia moich rodziców. Nie

sposób powiedzieć, że przeżyli oni euforię odzyskania niepodległości przez Polskę, ale ich dzieciństwo i młodość były naznaczone przez owo piękno, które nazwałbym pięknem spełnionego patriotyzmu. Takie spojrzenie na przedwojenną Polskę zaszczyliły we mnie przede wszystkim wspomnienia mojej Matki, niezależnie od wszystkich niedoskonałości owej Polski, o których wiem jako historyk. Dla niej ta Polska skończyła się, gdy miała 18 lat; w jakimś sensie odzyskała ją we wspomnianym roku 1989, gdy miała lat 68. Nie muszę mówić, jakie było owe 50 lat, które przeżyła między tymi dwiema datami.

Pozwolę sobie zatrzymać się jeszcze przez chwilę przy tej refleksji, mającej zarazem charakter osobisty i jednak również, rzekłbym, zawodowy: historyczny czy historiozoficzny. Jak wspomniałem, pojawiła się ona niedawno, w rozmowie z moim przyjacielem, zarazem wysoko cenionym przeze mnie – i nie tylko przeze mnie – historykiem. Gdy wymieniłem rok 1989, upomniał się on natychmiast o rok 1980, czy też lata 1980/81. Musiałem się przez chwilę zastanowić co sprawiło, że spontanicznie wskazałem na jedną z tych dat, a na drugą nie. Oczywiście lata 1980/81 to też było przeżycie mocne i niezwykle. Ale czas „karnawału Solidarności” był, jak samo to określenie wskazuje, czasem bardzo szczególnym. Działo się wtedy coś, co właściwie, zważywszy na ówczesne realia, nie mogło się dziać, było czymś niemożliwym. Z tego względu było na bieżąco naznaczone swojego rodzaju gorączkowością i niepokojem, w dodatku niepokojem narastającym: takie jest moje wspomnienie zwłaszcza z jesieni 1981 r. No i niebawem wrażenie to zyskało jakże mocne potwierdzenie.

W zestawieniu z tym rok 1989 był inny: był rokiem nadziei nie rozedrganej, lecz ufnej i pogodnej: że będzie lepiej, że będzie dobrze, że będzie normalnie. Z dzisiejszej perspektywy nadzieja ta może wydawać się naiwna, przede wszystkim zaś bardzo odległa. Ale jest to piękne wspomnienie i – jak powiedziałem – jest ono wielką wartością tej sporej części mojego życia, którą przeżyłem dotąd i widzę spoglądając wstecz.

Prócz tego jest ten drugi aspekt: mój los czysto jednostkowy. Z pełnym przekonaniem głoszę, że los, który wyciągnąłem na loterii życia był bardzo szczęśliwy. Nie wolno mi twierdzić, że bez reszty wolny od cieni. Były i te, aczkolwiek właściwie były to głównie cienie rzucone przez los moich bliskich. Tego wątku nie będę rozwijał.

Świąteł było jednak znacznie więcej. Miałem kochających rodziców, zapewniających mi byt, w którym nie tylko nie odczuwałem poważnych trosk materialnych, ale także byt barwny i atrakcyjny, dzięki stylowi życia naszej rodziny: turystyczne wakacje, niedzielne jazdy rowerami nad jezioro Kierskie, obfitość lektur i innych rozrywek, wartościowe przyjaźnie, z których najdawniejsze datują się z czasów przedszkolnych i wczesnoszkolnych. Wymienić muszę także, nawet jeśli trąci to chełpliwością, świadomość prestiżu. Mam więc na myśli prestiż społeczny mojej rodziny. Chodzi przy tym nie tylko o rodzinę w jej wymiarze nuklearnym, ale i szerszym, przede wszystkim dzięki postaciom obu moich Dziadków, a poprzez nich, związku, podtrzymywanego też przez rodziców, z prestiżem instytucji Uniwersytetu. Dalej prestiż mojej Matki – lekarza świadczącego dobro swoim pacjentom. Prestiż Ojca jako bardzo znaczącej postaci w świecie polskiego taternictwa, alpinizmu, potem zaś eksploracji polarnej. Tu dodać muszę, że w tym wypadku otrzymałem o wiele więcej, niż tylko dumę z ojca – stałem się bowiem towarzyszem jego wypraw, co dało mi ogrom wspaniałych przeżyć, a także zupełnie szczególną radość ziszczenia się chłopięcych rojeń, wydawałoby się, że zupełnie fantastycznych. Wymienię dalej prestiż – w tym wypadku, nie ukrywam, naznaczony też pewnym snobizmem – mojego liceum, „Marcinka”, miejsca, w którym zrodziły się kolejne wartościowe przyjaźnie. Tu z kolei dorzucić muszę, że nie sposób wprost zliczyć, ile różnych dobrych rzeczy zawdzięczam wyniesionej z tej szkoły znajomości języka francuskiego. Wspomniany przed chwilą prestiż Uniwersytetu towarzyszy mi od blisko pół wieku, kiedy stał się Uniwersytet nie tylko miejscem mojej pracy, ale i moim najbliższym środowiskiem, stał się dla mnie, jako dla kolejnego uczestnika sztafety pokoleń tym, co określa piękna nazwa „prywatna ojczyzna”.

Gdy mówię w tym momencie o Uniwersytecie, pragnę zaakcentować coś jeszcze. Obok okoliczności, sprawiających, że także w tym środowisku zrodziły się kolejne moje przyjaźnie, istniał jeszcze jeden szczególny element tego, o czym rozwodziłem się przed chwilą – czyli prestiżu. Było bowiem i pozostaje zaszczytem, że moim mistrzem był profesor Janusz Pajewski. Co więcej, więź między nami, wyraz dawnej tradycji uniwersyteckiej, na szczęście nie do końca jeszcze wygasłej, jaka zawiera się w dwóch pojęciach: profesor i jego asystent – przy czym słowo „asystent”

ma oczywiście treść zupełnie różną od określenia stanowiska – za sprawą Janusza Pajewskiego była zarazem więzią przyjaźni.

Wraz z przywołaniem postaci profesora Pajewskiego pragnę otworzyć kolejny wątek snutej przed Państwem monotematycznej opowieści. A więc teraz poświęcę chwilę Tomaszowi Schrammowi jako historykowi.

Gdy wybierałem się na studia, moje widzenie historii było mocno XIX-wieczne, z dominacją historii wydarzeniowej, poświęconej dziejom politycznym i dziejom stosunków międzynarodowych. I wiedziałem, że na uniwersytecie jest profesor, który właśnie taką historią się zajmuje. Co więcej: że jest to dawny kolega mojego dziadka. To, że profesor ten zaprosił mnie na swoje seminarium – bo inicjatywa rzeczywiście wyszła od niego – stało się spełnieniem pragnień, z którymi zaczynałem studia. A to oznaczało nie tylko wejście w krąg seminarzystów, potem bliższych uczniów, jednej z wybitnych postaci naszego środowiska naukowego. Oznaczało także, że moim mistrzem stał się ktoś, kto urodził się jako poddany Mikołaja II, kto wspominał, że na własne oczy widział Franciszka Józefa, kto pamiętał opuszczenie Warszawy przez Rosjan w roku 1915 i bodaj czy nie najmocniejsze swoje przeżycie patriotyczne, jakim był dzień 3 maja 1916 roku w tejsze Warszawie. Kto mógł przywoływać jako świadek uchwalenie konstytucji marcowej, a także – to z wielkim bólem – zamach na prezydenta Narutowicza. Młody konserwatysta – bo takim kimś byłem – mógł się czuć szczęśliwy.

Prawdą jest, że pod koniec studiów zacząłem odczuwać potrzebę znalezienia klucza do wszechogarniającego zrozumienia dziejów, jakiegoś kamienia filozoficznego i – nie zdradzając profesora Pajewskiego – usiłowałem połączyć to, co reprezentował on jako badacz, z tym co reprezentował Jerzy Topolski. Czasami już początki flirtu uprzytamniają, że raczej nic z tego nie będzie – i tak też wyglądał mój niedługi młodzieńczy flirt z metodologią.

Tak więc wszystko pchało mnie do tego, żeby zostać historykiem bardzo tradycyjnym. Coraz lepiej wiedziałem, że to nie był ten główny i wartki nurt współczesnej historiografii, że – jak ze zbytnią może złośliwością, ale dowcipnie określiła wykłady mojego mistrza pewna uczennica Kazimierza Tymienieckiego –

bieg dziejów naprawdę nie zależał od tego, co jeden ambasador powiedział do drugiego. Ale właśnie to mnie bawiło – no i tak się bawiłem...

Przyznaję, że ta moja autoprezentacja jest trochę zawężona. Wypada dodać, że dzięki inspiracji profesora Wiesława Śladkowskiego, towarzyszącego mi jako życzliwy recenzent na kolejnych etapach mojej kariery naukowej, inspiracji dotyczącej mojej rozprawy habilitacyjnej, zyskałem – cokolwiek na wyrost – etykietę historyka wojskowości, chociaż ta rozprawa, poświęcona głównie Francuskiej Misji Wojskowej w Polsce, dotyczyła w gruncie rzeczy również stosunków międzynarodowych. Zdarzały się pewne adresowane do mnie zamówienia, stymulujące powstanie tego czy innego tekstu – niektóre z nich, znajdują się w leżącej tu książce; chyba nawet to większość jej zawartości. Jest to zwłaszcza odpowiedni moment, aby powiedzieć, co zawdzięczam pani profesor Marii Zmierczak i złożyć jej za to podziękowanie. Jako organizatorka nowo powstających na naszym uniwersytecie studiów europejskich, niewiele mniej niż trzydzieści lat temu, zwróciła się do mnie z zamówieniem na wykład obejmujący całe dzieje Europy. Było to spore wyzwanie, które zmusiło mnie do wysiłku erudycyjnego i konceptualizacyjnego. Wśród różnych autorów, do których w owym wysiłku sięgałem, szczególne miejsce zajął Krzysztof Pomian, w ślad za czym miałem możliwość zetknięcia się bezpośrednio z tym wielkim uczonym – cenię to sobie ogromnie. Cała owa przygoda z Europą poszerzyła mój horyzont jako historyka. Ale do spełnienia na tym polu brakuje mi bardzo wiele i nie robię sobie zbyt wielu nadziei w tym względzie.

Raz po raz mam okazję zetknąć się z nowymi trendami, osiągnięciami i perspektywami nauki historycznej. Stosunkowo niedawno znowu mi się coś takiego przytrafiło: przysłuchiwałem się rozmowie dwóch przedstawicielek nauk humanistycznych (historyczką była tylko jedna z nich), których przynależność pokoleniową można oddać przez określenie „30+”. Rozmawiały o swoich badaniach z autentyczną pasją, a ja siedziałem obok i miałem poczucie, że zarazem znajduję się w zupełnie innym miejscu niż one. Ten dialog to nie były zabawy lingwistyczne, przy których nieodzowny jest słownik wyrazów obcych: rozumiałem, o czym była mowa, byłem świadom, że było to stymulujące i otwierało nowe perspektywy, ale to rozumienie w żaden sposób nie znajdowało zaczepienia w mojej własnej wiedzy.

Mówiła dzisiejsza humanistyka, i to w bardzo dobrym swoim wydaniu, a ja nie miałem żadnych danych, aby próbować się do tego włączyć. Te same odczucia miałem, gdy słuchałem niektórych wystąpień w czasie niedawnego Powszechnego Zjazdu Historyków w Lublinie. W taki oto sposób, może cokolwiek nieudolny, usiłuję wytłumaczyć Państwu co mam na myśli dzieląc się wątpliwościami na temat moich dokonań naukowych.

Uważam się więc za historyka nie całkiem spełnionego. Pod pewnym względem owszem, mogę mówić o spełnieniu. Ale, jak to kiedyś określiłem, mam wrażenie, że moja pozycja towarzyska – no, środowiskowa – brana jest, czy przynajmniej bywa, za moją pozycję naukową. Zdaje sobie sprawę, że pełniąc rozmaite funkcje, jestem postacią rozpoznawalną i – zaryzykuję to stwierdzenie – akceptowaną w stopniu sprawiającym mi przyjemność. Spotkały mnie też pewne zaszczyty, rodzące wdzięczność większą niż poczucie, iż są zasłużone. Istotne jednak pozostawało trzeźwe pytanie: „No dobrze, ale co ten Schramm właściwie napisał?”. Odpowiedź na nie od dzisiaj jest nieco łatwiejsza za sprawą tomu, za który ponawiam moje podziękowanie. Niemniej nadal nie jestem wolny od wątpliwości co do tego dorobku zarówno w aspekcie ilościowym, jak i jakościowym.

Znacznie lepiej wygląda to w innej sferze, której nie może zabraknąć w tym wystąpieniu. Chcę powiedzieć o kilkorgu ludziach, dla których byłem promotorem ich prac doktorskich. Zazwyczaj używa się w takich razach określenia „uczniowie”. Zapewne zauważają państwo w tym momencie pewne moje wahania wobec owej nazwy. Nie mam bowiem poczucia znaczącego udziału w budowaniu przez nich ich wiedzy – tym bardziej że nikt z tej grupy, czy raczej grupki, nie zajął się problematyką, w której mogę uważać siebie za kompetentnego. Jeśli mogę sobie przyznać jakieś zasługi, to bardziej te, jakie oddaje pojęcie „wychowanek” bądź „wychowanka”. Ale po tej uwadze, będącej pochodną mojej nadmiernej może pedanterii semiotycznej, będę używał jednak terminu utartego i brzmiącego mile.

Lista wypromowanych przeze mnie doktorów zawiera pięć nazwisk; ufam, że w nieodległej przyszłości przybędzie na niej szóste, najpewniej ostatnie. Ale w tym właśnie wypadku potwierdza się z całą mocą, że jakość znaczy dużo więcej niż ilość. Proszę mi wybaczyć odwołanie się do znikającej obecnie struktury, z którą zżyłem się

od kilkudziesięciu lat. Jest moją wielką radością, że czworo moich uczniów z owej piątki pracuje w naszym Instytucie, z czego w zakładzie, którym kieruję, troje: wedle starszeństwa Jakub Wojtkowiak, Krzysztof Marchlewicz i Małgorzata Praczyk; czwarta to Magdalena Heruday-Kiełczewska, wchodząca w skład Zakładu Archiwistyki. Jest moją wielką radością, że każda z tych osób zyskała już znaczącą pozycję naukową, w trzech wypadkach potwierdzoną osiągnięciem nie tylko faktycznej, ale i formalnej samodzielności. Jest moją wielką radością, że towarzyszy temu to, co przed laty stało się moim udziałem w stosunkach z profesorem Pajewskim: więź z moimi uczniami i uczennicami to więź przyjaźni.

Gdy mówię o moim wieloaspektowym osadzeniu w mojej uniwersyteckiej „prywatnej ojczyźnie” i o ludziach, z którymi się dzięki temu zetknąłem, pragnę poruszyć jeszcze jeden wątek. Uważałem i nadal uważam za właściwe, aby tej instytucji i społeczności służyć, gdy pojawi się takie wezwanie. Jak stwierdzam, ta moja służba najczęściej polegała na stawaniu przy czyimś boku jako numer 2 lub 3. W tym miejscu pragnę podziękować kolejno dziekanowi Wydziału Historycznego, profesorowi Karolowi Olejnikowi i dyrektorowi Instytutu Historii, profesorowi Bohdanowi Lapisowi, którzy zaproponowali mi współpracę. Nieco odmienne miejsce w moim *dossier* organizacyjnym ma wcześniejszy okres lat 1984-1987, kiedy to niespodzianie i w sposób bulwersujący ówczesny *establishment* instytutowy stałem się, jako zaledwie doktor i adiunkt, wicedyrektorem Instytutu Historii do spraw dydaktycznych. To nie było tak, że sięgnął po mnie ówczesny dyrektor instytutu, prof. Jerzy Topolski – można powiedzieć, że zostałem mu narzucony przez zbuntowane „doły”. Ale w najmniejszym stopniu nie odczuwałem z jego strony żadnej rezerwy czy niechęci, wręcz przeciwnie. A na co dzień miałem niezawodne oparcie w osobie „pani Basi” – Barbary Szulc-Czubińskiej.

Inny i szczególny mechanizm sprawił, że w roku 1990 stanąłem u boku pani profesor Alicji Karłowskiej-Kamzowej jako sekretarz Uniwersyteckiego Komitetu Obywatelskiego. To wspomnienie cenię sobie nader wysoko.

Nie mogę wreszcie nie wspomnieć długoletniej współpracy, która wedle tej samej formuły zrodziła się między profesorem Krzysztofem Mikulskim i mną, na polu głównie, chociaż nie wyłącznie, Polskiego Towarzystwa Historycznego. Wypada

jednak dodać, że pierwsze pchnięcie ku działaniu w PTH, zamiast poprzestawania na biernym członkostwie, było dziełem profesora Mariana Drozdowskiego. Mogę dzięki temu wymienić krąg szerszy niż ramy mojej uczelni, ale jak najbardziej akademicki – zarazem kolejny krąg przyjacielski.

Jeszcze raz przywołam postać profesora Janusza Pajewskiego – tym razem jako autora wspomnień wydanych w dwóch wersjach pod tytułami *Przeszłość z bliska. Wspomnienia* oraz *Poza wczoraj*. Zamyka je krótki rozdział zatytułowany „O szczęściu”, poświęcony refleksji nad pytaniem: „Czy życie moje było szczęśliwe?”. Pytanie najważniejsze dla zamknięcia bilansu życia.

Mój bilans nie jest jeszcze zamknięty. Ale dzień dzisiejszy uznany został za szczególny, w czym widzę poszanowanie pewnej tradycji akademickiej – i z tego względu, a nie przez egotyzm (bo jak wiadomo, w skromności nikt mi nie dorówna), przystaję na to, a więc także na odegranie, poprzez zabranie głosu, przeznaczonej dla mnie roli. Jak powiedziałem na początku, jest to retrospekcja i rekapitulacja – siłą rzeczy nieostateczna. Ta formuła zdała mi się najważniejsza i doprowadziła mnie w to samo miejsce, co mojego mistrza. Na przytoczone przed chwilą pytanie Profesor odpowiedział: „Jeżeli, według Władysława Tatarkiewicza, «o szczęściu stanowi trwałe, pełne i uzasadnione zadowolenie z życia», z całego życia, to takiego szczęścia nie doznałem. Zbyt mocno przeżyłem tragedię mego narodu, zbyt mocno przeżyłem los tragiczny moich Najbliższych. Ale elementy czy czynniki szczęścia były i są nadal moim udziałem. Miałem wiele dni i wiele chwil, które dały mi pełnię szczęścia.”.

Nie nazywając tego wprost, rozróżnia więc Profesor dwa rozumienia pojęcia „szczęście”, którego to rozgraniczenia nie ma w leksyce języka polskiego. Można je określić odwołując się chociażby do angielszczyzny, ale możliwe jest też sięgnięcie do łaciny, i to wolę. A więc: jak w tej mojej rekapitulacji przedstawiają się *fortuna* i *felicitas*? Odpowiedź na pierwsze pytanie została udzielona już uprzednio w słowach, dalej rozwiniętych, o szczęśliwym losie wyciągniętym na loterii życia. A *felicitas*? Cóż, ta jest odczuciem subiektywnym, a także stopniowalnym – od zadowolenia po euforię. Znacznie łatwiej może ona znaczyć pewne momenty, niż dłuższy czas, nawet gdyby w tym drugim wypadku założyć jakieś swoiste „uśrednienie wyniku”. Przy tych wszystkich zastrzeżeniach, odpowiedź na pytanie o *felicitas* też wypada pozytywnie.

Wśród jej składowych pragnę zwrócić uwagę zwłaszcza na jedną. Być może słuchacze tego przydługiego wystąpienia zauważyli w nim coś, czego ja jestem bardzo świadomy: słowo, które się przez nie przewijało w sposób chyba najbardziej stały, widzę w tej chwili spoglądając na salę przede mną. Przywołam w tej chwili wypowiedź Leszka Kołakowskiego, która trafia do mnie z wyjątkową siłą. W pewnym wywiadzie na zadane mu pytanie: „A gdyby jednak miał pan wybrać jedno dobro najważniejsze w życiu, to co by pan powiedział?” odrzekł: „Najchętniej bym milczał. Ale gdyby mi pan zaczął wrywać paznokcie, albo gdyby mnie pan solidnie przypiekał, to pewnie – nie robiąc z tego żadnej sztywnej doktryny – powiedziałbym, że wśród dóbr ważnych w życiu na pierwszym miejscu jest przyjaźń.”. Określenie „mędrzec”, trąci grandilo kwencją i brzmi w sposób napuszony. Towarzyszy jednak jako swoisty emblemat wspomnianemu wywiadowi, przeprowadzonemu dla „Polityki” przez Jacka Żakowskiego; jeśli traktować je serio, do kogóż można je odnieść bardziej zasadnie? Skoro więc w ten sposób to, co w życiu jest najważniejsze, określa mędrzec, to przyznaję, że jest to mocna, chociaż nie jedyna podstawa, bym mógł określić siebie jako *homo felix*.

Ale przytoczony przed chwilą cytat można pociągnąć nieco dalej i wtedy emanująca z ostatnich jego słów pogoda rozwiewa się. Zwrócić pragnę bowiem uwagę na jeszcze jedno. Ponownie odwołam się do pojęć: retrospekcja i rekapitulacja. Mówiłem o okresie zawartym między datami 1949 i 2019. Skierowanie wzroku w przód może nasuwać myśli niespokojne. Kołakowski powiada: „Bo w każdym ludzkim życiu jest tyle nieszczęścia, bólu, cierpienia, załamań, niepowodzeń, że bardzo trudno zmagać się z nimi samemu. [...] Te cierpienia, które wciąż nam towarzyszą, są do zniesienia. Ale są. I musimy je znosić. A to nam przychodzi łatwiej, kiedy mamy przyjaciół.”.

W tym cytacie pojawia się słowo o wielkim ciężarze: „cierpienie” Można je zastąpić mniejszym chyba i o innym cokolwiek znaczeniu, ale też ważnym – przywołując początek jednej z piosenek Andrzeja Sikorowskiego:

„Kiedy poranną sącę kawę,
Rozgrzany po niedawnym śnie,

Przeoglądam pierwsze strony gazet
I mówiąc szczerze, boję się.”

Ten mój strach ma różne wymiary: od globalno-ekologicznego, który można zawrzeć w pytaniu: „czy zdążymy umrzeć, zanim wyginie?” , poprzez psucie mojego państwa, po kondycję mojej „małej ojczyzny”, wpisaną w kontekst *Universitatis A.D.* 2019, a w obrębie tego kontekstu – i szerzej, w obrębie świata współczesnego – po kondycję humanistyki. Zaznaczam, że krytycyzm tej ostatniej uwagi nie jest wymierzony w moją uczelnię.

Przepraszam za to, że na moment pojawiły się w moim przemówieniu tony kasandryczne. Czułbym się nieuczciwie, gdybym je przemilczał. Ale w tym momencie, w oglądanym subiektywnie punkcie styku między przeszłością i przyszłością, pragnę jednak zakończyć w taki sposób, w jaki zacząłem – i ponownie oddaję głos Boyowi:

„Wiek dojrzały ma, bez blagi,
Tak oczywiste przewagi,
Że życzę wam, moi mili,
Byście go rychło dożyli”.